

04485

*da Borki Krak.*

Opłatę pocztową uiszczono ryczałtem.

Rok XIII (XIV)

Październik — Listopad. 1931

Nr 1.

*132.*

# „PROMIEN”

ORGAN SAMORZĄDU MŁODZIEŻY POLSKIEJ  
GIMNAZJUM im. WŁADYSŁAWA SYROKOMLI W NIEŚWIEŻU.

LABOREM NOSTRUM PATRIAE.

*149454*

*02450*



SLAWOMIR CZERWIŃSKI.



04485

## O D R E D A K C J I.

Tak jak w świecie organicznym podstawowym warunkiem życia jest walka istot o byt, tak samo w życiu narodu i ludzkości podstawą wszelkiego postępu jest walka o byt nowych idei ze starymi. Każde pokolenie w historii zajmuje jakieś stanowisko wobec żywotnych dla niego zagadnień i po stworzeniu pewnego systemu, stara się go uzasadnić w praktyce, zamienić w niewzruszony kanon, aby go wreszcie przekazać pokoleniom następnym, zapominając o tem, że każde hasło i idea noszą już przy swem powstawaniu zarodek śmierci. Tym elementem nieustannie podważającym fundament niewzruszonego, zdawałoby się, gmachu, którym lubują się starzy — jest młodzież, ze swem najważniejszym prawem zajęcia nowej postawy wobec zagadnień bytu jednostki i państwa. Starzy też nie zaspiają sprawy, a broniąc się zjadają przed nową rzeczywistością, sami nie mogą spoczywać na laurach. Muszą z konieczności spojrzeć krytycznym okiem na swoją przeszłość i dostrzec tam cały szereg rysów i powiedzieć z ciężkim westchnieniem: „Chociaż to dawniej lepiej bywało, ale może i te młokosy mają trochę racji“. I tak dziadkowie i wujaszkwowie ze smutnem, łzawiącym się okiem zdejmują togi, schodzą z katedr profesorskich, z których mieli zamiar wyklądać swoją doktrynę, a patrząc na jasne głowy swych wnuków, rezygnują ze swego dawnego stanowiska zupełnej negacji tego, co nowe. A z tych jasnych głów idzie też

jakiś cudowny promień, przebijają pancierz chłodu i krytycyzmu, jakim się obwarował dziadunio, spędza mu z ust ironiczny uśmiech i — o dziwo! tak jak w czarodziejskiej klechdzie, on, zgarbiony staruszek, zmienia się w młodzieniaszka. Po suchem obliczu buja fala krwi. „I ja byłem kiedyś młody!“ — woła w zapale dziadunio, chwyta wnuka na kolana i tak im dobrze ze sobą, tak się wzajemnie rozumieją. I nie spostrzega dziadek, jak z ust jego płyną te same zdania, które mu wnuk niedawno w zapale wykladał, a wnuczek nie poznaje dawnego gderającego dziadusia, prawiącego tylko o tem, jak to dawniej lepiej bywało.

Przychodzi także chwila, w której na rozpaloną głowę młodzieniaszka wyleje życie wiadro zimnej rzeczywistości — i on musi przyznać, że i dziadek miał rację, hamując jego młodzieńczy zapal, bo on już przeszedł ogniową walkę z życiem. W ten mniej więcej sposób powstaje połączenie dwóch przeciwnych, zdawałoby się, odłamów: — z jednej strony młodzieży, z drugiej starszego społeczeństwa i powstaje nowa epoka w dziejach ludzkości. I ci biedni sztubacy, gderani przez nauczycieli, drżący przed ponurym demone, jakim jest „dwójka“, nie wiedzą może nawet, że oni są sprężyną postępu, że oni pchają kulę ziemską naprzód, tak, jak wielką głowę bałwana śnieżnego na szkolnem podwórku. Lecz gdy się o tem sztubak dowie, musi podnieść głowę dumnie do góry. Obszarpany mun-

durek zamienia się w cudowną zbroję bohatera Achillesa i gdyby nie owa pięta, gdyby nie ta „dwójka“, byłby z tego sztubaka istny bohater. My tworzymy historję (nic nie szkodzi, że z niej często dwójke łapiemy, możemy się pocieszyć, że i z tej przez nas stworzonej epoki, nasi potomkowie pały łapać będą). Nic nie szkodzi, że szcękamy z zimna, wystając przed „budą“ całemi godzinami. Do nas należy przyszłość, ale tylko wtedy, gdy będziemy mieli swoją postawę wobec życia, gdy będziemy mieli swoje własne poglądy. A więc bacność, wszyscy od „pierwszaków“ aż do „ósmaków“, co to, jak sztubacka piosenka mówi, gołą sobie wasy. Niech wasze dostojne osoby przejmie dreszcz uniesienia, stawajcie na apel. Niech każdy i duży, i mały, i cienki, i gruby, i zuch, i maminsynek — niech każdy włązi na trybunę, którą od dzisiejszego dnia otwieramy.

Mamy więc Trybunę, brońmy z niej naszej dumy i godności twórczego pokolenia historii. Niech każdy na nią włązi. Nie bójcie się. Nikt was krytykować nie będzie. My, chłopcy, wylej-

my przed sobą nasze poglądy, nasze pomysły przyszłych międzyplanetarnych podróży, młodzie opowiedzą nam może swoje przygody z puszczy amerykańskich, sportowcy niech gadają o nowych rekordach, doktorzy o szybkim transportowaniu na tamten świat, ekonomiści o przyszłym ustroju gospodarczym świata, w którym za darmo kupić można będzie rowery, łyżwy, narty, motocykle, samoloty i łodzie podwodne. Nie chcemy wam zresztą nic narzucać. Gadajcie, jak chcecie. A prawda!!! Zapomniałem o naszych koleżankach. Te przyniosą w darze „Naszej Trybunie“ najpewniej swoje drogie serduszka, pełne miłości bliźniego, a może zechcą z nami walczyć o emancypację. Niech sobie gadają, co chcą, oprócz plotek.

Kto będzie miał mocne łokcie, ten wlezie na trybunę pierwszy, ale młodsi niech się nie martwią, przyjdzie i na nich kolej. A tymczasem wszyscy i młodsi i starsi wyrzucmy nasze dostojne czapki do góry i krzycmy z całej naszej szerokiej młodzieńczej piersi: „Niech żyje nasza sztubacka Trybuna!“

## Min. CZERWIŃSKIEMU W HOŁDZIE.

Konflikt pojęciowy i uczuciowy między starszem i młodszem pokoleniem jest zupełnie zrozumiały i naturalny. Młodzież dąży do nowych idei, stara się zdobyć nową postawę wobec życia i z krytycznym uśmiechem patrzy na „starszych“, starsi natomiast bronią swoich usankcjonowanych tradycją idei

i ironicznie patrzą na młodzież którą za krytyczne ustosunkowanie się do dawnych ideałów, obwiniają o zupełny brak idealizmu, niepomni na to, że „każda epoka ma swe własne cele i zapomina o wczorajszych snach“. Zupełny jednak rozdźwięk między starszą i młodszą generacją jest również szkod-

liwy, gdyż uniemożliwiałby on wszelką pracę wychowawczą, będącą największą troską i obowiązkiem starszego pokolenia. Dlatego też stanowisko ministra oświecenia, który ma urabiać dusze przyszłych obywateli państwa, który ma nawiązać kontakt między młodzieżą, dążącą do postępu — a konserwatywnie poniekąd usposobionem starszem społeczeństwem, jest tak odpowiedzialne wobec historii.

Min. oświaty musi odczuć dążenia młodzieży, musi nadać im odpowiedni kierunek, on musi śpionione fale młodzieńczych porywów ująć w łożysko, niezawsze zgodne z dawnym łożyskiem życia i myśli narodu. O ile więc ministrowie innych resortów troszczą się o byt teraźniejszy państwa, on w swoim cichym gabinecie wykuwa przyszłe drogi historii narodu, a części i całej ludzkości. Polska otrzymała swój byt państwowy i jako państwo potrzebuje nowych obywateli, którzyby dla niej umieli rzetelnie i z pożytkiem pracować.

Wychowaniu takiego typu Polaka — państwowca poświęcił Min. Czerwiński całą swoją działalność publiczną. Urodził się on dnia 24.IX.-1885 roku w Sarnopolnie, jako syn zastępcy notariusza. Od roku 1895 uczęszcza go gimnazjum filologicznego w Kaliszu. Wyrzucony za zredagowanie żądania szkoły z polskim językiem wykładowym, wyjeżdża do Krakowa, gdzie też otrzymuje maturę. Na uniwersytecie Jagiellońskim studjuje polonistykę, pedagogikę i filozofję. W Wiedniu słucha logiki. W okresie studjów pracuje nad rozbudzeniem myśli niepodległo-

ściowej wśród młodzieży. Po egzaminie nauczycielskim naucza w prywatnych szkołach polskich w Koninie i w Piotrkowie, potem zostaje dyrektorem w Ostrowcu i na tem stanowisku rozwija działalność społeczną i wychowawczą. W 1919 roku otrzymuje stanowisko referenta w Ministerstwie W. R. i O. P. Wkrótce potem zostaje radcą ministerjalnym, wizytatorem seminarjów. W 1928 roku pełni obowiązki dyrektora departamentu, aż wreszcie 24.IV.-1928 roku mianowany został ministrem W. R. i O. P. i urząd ten pełni aż do śmierci. Jako minister Oświecenia postanowił on przetrwać dla państwa polskiego zastęp nowych obywateli, postawił sobie za cel przebudowanie duszy Polaka, wychowaniego w niewoli i w negecji tego wszystkiego, co tchnie władzą, karmionego poezją romantyczną, która ten zbawienny w czasie niewoli anarchizm duchowy wzbudzała. On czuł, że w duszy młodego Polaka trzeba obudzić miłość do swojej władzy, do swego państwa. W czasie swego przemówienia sejmowego zaznacza, że „pierwszym i najważniejszym interesem zarówno poszczególnych grup społecznych, jak też ogółu narodu jest wzmocnienie zrębów otrzymanego państwa”. Rzuca więc on młodemu pokoleniu płomienną ideę poświęcenia się i pracy dla dobra państwa. Hasło wychowania państwowego najlepiej sam charakteryzuje gdy mówi: „Rozumiemy przez nie takie zorganizowanie pracy, aby rezultatem tego wychowania był obywatel przygotowany fizycznie i moralnie do ofiarnej

służby dla Państwa“. Widzimy więc, że Minister Czerwiński umiał odczuć nowe prądy i idee, jakie nurtowały w polskiej młodzieży, umiał dać tym ideom konkretny wyraz. Spełnił więc swą rolę dziejową. On dał nam, przyszłym budo wniczym Polski,

program, a chociaż już odszedł od nas — to duch jego i jego wielka idea pozostanie wieczną wśród nas, a obowiązkiem naszym będzie ją realizować i w czyn wprowadzać. Wówczas staniemy się godnymi naszego wielkiego wychowawcy.

Zygmunt Korzon VII.

## NAD ŚWIEŻĄ MOGIŁĄ.

Na dalekich, mroźnych, kirgiskich stepach ukazał się jakiś nieznaną kwiat... Jakże obcą była mu gleba, przesiąknięta krwią i potem ludu, jęczącego w jarzmach niewoli i ciemnoty, jakże trudno było mu oddychać atmosferą, napełnioną świstem carskiego batoga, wpijającego się, bez przekleństwa nawet, w ciało biednego narodu. I tak jak kwiat zwraca swoje płatki do słońca, tak dusza małego Tadzika zaczęła tęsknić za słońcem ideału i wolności. Zaczęła nań wołać ziemia, która była jego prawdziwą ojczyzną, szumem mazowieckich lasów, poważnym głosem Sukiennic, czarem nocy listopadowej, urokiem swojej bohaterskiej historii, ucieleśnionej w nieśmiertelnych postaciach z „Ogniem i mieczem“. Słuchał młody Hołówko tej pieśni bohaterskiej, lecz czuł też niedolę swojej Ojczyzny, jęczącej w kajdanach niewoli. Tragedja ludu rosyjskiego i tragedja jego własnej Ojczyzny wywołały w duszy bunt, bunt przeciw rzeczywistości, przeciw brutalnej potędze, która była probierzem sprawiedliwości w międzynarodowych stosunkach. Mógł się stać Hołówko tylko marzycielem, pla-

czącym nad losem Ojczyzny i ludzkości, mógł zaprzepaścić bunt swej duszy w pięknych słowach i hasłach, w mrzonkach romantycznych — lecz on też czuł, że idea bez czynu jest martwą, on postanowił walczyć z caratem, będącym uosobieniem brutalnej siły, walczyć o wolność Ojczyzny, walczyć o prawa ludu, uosabiającego cierpienia całej ludzkości, wszystkich warstw upośledzonych.

Ta negacja dotychczasowej rzeczywistości w stosunkach międzynarodowych i społecznych, rzuca Hołówkę w szeregi rewolucjonistów i socjalistów, walczących z caratem. Za swoją działalność dostaje się do więzienia, po wyjściu z którego udaje się do Polski.

Tu spotyka tego, który był dla Narodu wieszczem czynu, który natchnął Naród wielką ideą niepodległości, zrealizowaną w czynie legjonowym. I temu Wodzowi Narodu oddaje Hołówko cały swój zapał młodzieńczy, jego idei poświęca swe siły i zdolności. Tu ukazuje się nam Hołówko jako nieustraszony bojownik wolności, wykarmiony na wielkich tradycjach roku 1830 i 63 i jako publicysta, w ogniu

walki piszący płomienne artykuły w „Rządzie i Wojsku” i w „Ignisie”. Nadszedł wreszcie czas gdy jedna wielka idea jego życia, której swą szlachetną duszę poświęcał, realną się stała, doczekał się Hołówko zmartwychwstania Polski. Od tej chwili i zaczyna się praca jego na niwie polskiej odrodzonej państwowości, staje się on budowniczym polskiej myśli, polskiej racji stanu.

Punktem wyjścia w tej pracy, stała się dla niego druga idea, jaka mu przyświecała, gdy walczył z rządem rosyjskim — idea sprawiedliwości dziejowej wobec ludów, wchodzących w skład innego państwa. On chciał, aby Polska stała się matką dla ludów, objętych jej opieką, on swem szlachetnem, pełnem miłości sercem czuł, że Polska, wyzwoliwszy się z pęt niewoli, nie może narzucić jarzma narodom, na jej terenie się znajdującym. Staje się spadkobiercą wielkiej idei twórców unji lubelskiej, staje się opiekunem i doradcą mniejszości narodowych. Dla nich poświęca całą

działalność, czy to jako Naczelnik Wydziału w M. S. Z., czy też jako poseł na Sejm broni praw mniejszości z trybuny sejmowej i w licznych artykułach, rozsianych po pismach. Tu też na tym historycznym posterunku ginie, jak prawdziwy żołnierz. Hołówko czuł i myślał za cały naród, to też największym pomnikiem, na jaki sobie zasłużył będzie miłość i wdzięczność wszystkich Polaków, a przede wszystkim tych, których bronił za życia. A dla nas, młodych, stanie się on gwiazdą przewodnią na drodze, którą mamy pójść w przyszłości. Musimy tak, jak on, gorącym sercem miłować naszą Polskę, ale obok tego miłość nasza musi objąć cały świat i wszystkich ludzi bez względu na przynależność narodową i przekonania.

My, tworząc historję Polski i opierając ją na hasłach miłości i równości wszystkich jej obywateli, na ideałach, którym hołdował Hołówko, wystawimy mu najwspanialszy pomnik w sercach naszych.

## POŻAR WSI.

Wokół ciemności. Na wzgórzu wioska płonie.  
Nad nią krwawy płomień blaskiem wkoło świeci,  
W kłębach dymu lecą oszalałe konie,  
Tam płonąca głównia jak kometa leci.

Wznoszą się nad wioską złote iskier chmury,  
Gorące powietrze wstrzymuje oddechy,  
Krwawe słupy ognia buchają do góry,  
Nikną w wrzącem morzu niskie chłopów strzechy.

Jak smutny ten widok wywiera wrażenie.  
Jakież nieszczęśliwych będą teraz losy?  
Zniszczyły ich pracę straszliwe płomienie,  
A z wioski rodzinnej leżą gruzów stopy.

S. K.

**B U R Z A.**

Uderzył wichur w prastarą puszcze  
Zgiął jej drzew szczyty wyniosłe.  
Potężnem tchnieniem ziarna z szyszek łuszcze  
Wyrywa drzewa przez sto lat wyrosłe.

I jęczy puszcza i o litość błaga  
Szumem swych liści i gałęzi trzaskiem,  
Lecz wichur silniej jeszcze drzewa smaga,  
Ciesząc się ptaków wystraszonym wrzaskiem.

Porywa liście, wznosi je nad drzewa,  
Wirując z niemi jak w kole tanecznem  
I tak się bawiąc jakieś hymny śpiewa,  
Wołając, że jest światła panem wiecznym.

Jakże się oprzeć strasznemu ramieniu,  
Co gniazda ptaków wzięło w swoje kleszcze,  
Zmąciło wody w spokojnym strumieniu  
I hula ciągle i hula wciąż jeszcze.

Tak cię życiowy czasem wichur targa  
I nie wiesz, gdzie podziąć skołotane ciało,  
Zemdlata ci już od modlitwy warg  
Ciszy, spokoju — takby ci się chciało.

Lecz nie przestawaj wierzyć i módl się do Boga,  
Choćby ci od zmęczenia głos w gardle zasychał.  
Pamiętaj, skończy się ta ciężka droga,  
Bóg to dla próby zesłał na cię wichur.

R. Z.

---

**N A S Z A   T R Y B U N A.****Romantycy—my i lot do stratosfery.**

Dorwałem się wreszcie do Trybuny, a chociaż mnie boki porządnie boją od waszych szturchańców — to jednak wszystko to głupstwo. Będę do was gadał. O poważnych rzeczach mówić nie będę, bo gotowiście jeszcze ściągnąć mnie za łeb na dół, a za to ja zgóry serdecznie dziękuję. Nie jestem zresztą uczo-

nym na piśmie profesorem, ale zwykłym sztubakiem, więc nie roztwierajcie ust, jakbyście chcieli już ziewać... Ziewanie schowajcie lepiej na rozmaitego rodzaju Akademje, deklamacje, odczyty, występy publiczne i dobroczynne koncerty. Ale do syć już wstępów. Przystępuję do sedna sprawy. Obił się wam już

napewno o uszy bardzo popularny komunał, że my jesteście mało idealni. A więc taki sobie dziadunio siądzie przy kominie, wspomina, panie dzieju, dawne dzieje i biada nad tym nowoczesnym światem, nad tymi miłymi chłopaczkami, którzy jak wiatr pędzą na mecz piłki nożnej, albo latają jak zwarjowani po górach i wertepach, zamiast rozczytywać się w dawnych romantycznych bohaterskich utworach, zamiast wkuwać piękne zdania i sentencje, zamiast prawić z patosem o miłości, bólu rozpacz i poświęceniu. Gdzież ta młodość, która chciała wszystko mierzyć szalem uniesienia, gdzie te romantyczne niedościgłe ideały... Biada stary dziadunio... Myśli jego lecą w dal, jak ten dym od fajki, skręcający się w piękne węże i płynący hen daleko pod sufit, odbija się od sufitu, zawraca, zamienia się w subtelny obłoczek. Goni za nim myśl dziadusia, zapomina o wnuku, o świecie „który już napewno w ciemność zachodzi”, i wreszcie jego srebrna głowa opada na starą pierś... Cicho, nie budźmy go... niech sobie śpi, a sami pogadajmy o naszych sprawach. Szkoda dziadka, ale co zrobić... Korzystajmy z chwili, jedźmy na łyżwy, na narty, na góry, na lasy. Jaki ten świat piękny! W uszach świszcze wiatr i śpiewa takie piękne arje, jakich nie słyszał najbardziej zakochany młodzieniec na brzegach Świtezi przy blasku księżycy... My zamiast wywabiać tajemnicze Świtezianki, siadajmy do łódki. Jakże nam dobrze! Mięśnie rytmicznie się prężą, prując zwierciadło wód. Łódź mknie, jak strzała, żagiel wydy-

ma się pod tchnieniem wiatru... Józek przy sterze, w rozchlestaniej koszuli, wrzeszczy, abyśmy szli na lewą stronę, bo łódź tonie.. A wszystkiemu temu przygląda się poczciwy księżyc, a patrzy tak poważnie zamyślony, że Stach nie może wytrzymać i pokazuje mu język i to na całą długość. Wszyscy wybuchamy śmiechem. Ale dosyć już o tem! Wiem wszak, że wolicie żeglować i wiosłować, niż dumać, albo grać na lirze przy świetle księżycy. Powiem wam coś ciekawszego. Oto mało już nam gór, wód, łądów itd. Na przyszły rok wybieramy się do stratosfery. Nie myślcie, że to coś poważnego. To tylko zrobić taki sobie marsz do góry, na jakie kilkanaście kilometrów.

Budujemy sobie balon. Wsiadamy wszyscy i te pierwszaki i te ósmaki... Sternik krzyczy: „Hallo!!! Odjazd!!!” Czujemy, że odrywamy się od gnuśnego obszaru ziemi... Trochę zawrotu w głowie... Ale to nic... Powoli znikają zadarte do góry głowy naszych rodziców i koleżanek. Patrzymy na nich dumnie, z niemem zacięciem się w oczach, a choć niejednemu chciałoby się wrócić do mamuski, to taki jeszcze bardziej robi buńczuczna minę... Wreszcie ziemia już taka malutka, jak piłka do siatkówki... Ale czy się warto już taką piłeczką zajmować... Lepiej spojrzeć przez okno... W dali patrzy na nas księżyc. Jaki on teraz inny, gdy tak spojrzeć na niego zbliżka. Zwykła zgryźliwa, obrzękła twarz — zupełnie podobna do twarzy tego szewca pijaka z przeciwka... Ale słońce za to jakie piękne! Świeci teraz rześko, a promienie jego

odbijając się od aluminium, lecąc znowuż w dal tak, jakby my i nasz balon był nowem, małym słońcem, zawisłem nad staruszką ziemią. Tak więc my tworzymy sobie razem nową planetę, albo kometę, jak kto woli. Tak jedziemy na słońce, po drodze odwiedzimy księżyc, a może zabierzemy go na zabawkę dla małej Irki z pierwszej klasy, która tak rzewnie po nas płakała. Wszystko to pięknie brzmi, ale nie myślcie, że chcę was obujać. To nie jest wcale mrzonka romantyczna. To jest tylko wcale nieromantyczna, ale tylko naukowa podróż, jaką odbył prof. Piccard ze swym asystentem.

A teraz pomyślcie tylko, czy my lecąc w stratosferę, z której może nam już wrócić nie wy-

padnie, czy unosząc się w kraj nieznany — czy my nie realizujemy tych haseł, o których marzyli romantycy. Tylko my o nich tak pięknie mówić nie umiemy, my wolimy nałożyć łyżwy, narty i pędzić z wiatrem w zawody, albo myśleć nad modelem nowego statku do podróży międzyplanetarnych. Ale co lepiej: czy marzyć — czy działać — czy grać na lirze — czy żyć radośnie, wesoło — czy pięknie żółć rozpaczy po stracie ukochanej, czy też musujący nektar młodego życia... To już sami rozstrzygnijcie... A tymczasem z naszych piersi niech popłynie okrzyk na cześć prawdziwego romantyka XX-go wieku, wieku maszyn, wieku czynu:

Prof. Piccard niech żyje!!!

S z t u b a k.

## W KWESTJI NAS OBCHODZĄCEJ.

Juljusz Kaden-Bandrowski, jeden z najznakomitszych pisarzy doby współczesnej, porusza w swych artykułach z dnia 30.VIII. i 6.IX., drukowanych w „Dziale Literackim” „Gazety Polskiej” sprawę nauczania literatury w szkole średniej. Wychodząc z założenia, że młodzież po ukończeniu gimnazjum bardzo mało interesuje się sprawami piśmiennictwa ojczyzstego — tłumaczy ten fakt jednostronnem opracowaniem programów szkolnych, które zajmują się tylko fachowcy, historycy literatury i gramatycy z wykluczeniem twórców żywego języka t. j. pisarzy. Nawołuje więc do współpracy między polonistami i młodzieżą z jednej strony, a pisarzami z drugiej. Uważa też, że w szkole zbyt wielki nacisk kładzie się

na epokę romantyczną, pomimo tego, że młodzież odczuwa już niechęć do dawnych wspomnień „kleśki, upadku i niedoli”. Należałoby więc, zdaniem autora, odsunąć w cień „pokutę, rozpacz i nieszczęsną zgryzotę tej literackiej epoki”, a zwrócić uwagę młodzieży na pisarzy współczesnych, których działalność nie może być podciągnięta pod skamieniałe kanony literackie, ale sądy o niej muszą być bardziej względne, a stąd i ciekawsze dla młodych dusz.

Ponieważ sprawa, poruszona przez autora artykułów, dotyczy nas młodych przedewszystkiem, dlatego otwieramy łamy „Promienia” dla dyskusji w tej kwestji i prosimy o jak najliczniejsze artykuły dyskusyjne.

## KOMEDJA SZANIAWSKIEGO

## „ADWOKAT I RÓŻE”.

W dziele swem „Adwokat i róże” przedstawia Szaniawski starego mecenasa, który zaprzestawszy praktyki, zajmuje się hodowlą róż i pracą na polu filantropji. Hodując róże, dochodzi mecenas do świetnych rezultatów i jego róże zostają nagrodzone na wystawie w Brukseli. Jako filantrop, przyjmuje adwokat na wychowanie biednego chłopca, którego kształci starannie w swym fachu, aby jego wychowanek mógł zająć jego dawne stanowisko pośród jurystów. W tym czasie w ogrodzie adwokata powtarza się wciąż kradzież róż, aż wreszcie pewnego wieczoru zostaje zranny stróż przez pewnego studenta, który nie przyszedł po róże, lecz zakradł się w celu widzenia się z żoną mecenasa, kobietą nieprzeciętnej urody. Pomimo to, że mecenas jest świadom celu, w jakim się ów student zakradł do jego ogrodu, to jednak na usilne prośby matki owego studenta, którą kiedyś też bronił przed sądem, podejmuje się pokierować sprawą i oddaje ją w ręce swego wychowanka. Wychowanek ów, chociaż kocha idealnie żonę mecenasa, to jednak nie chcąc sprawić przykrości swemu dobrodziejowi, występuje w sądzie i swą obroną spowodowuje uniewinnienie mordercy. W komedji „Adwokat i róże” umieścił Szaniawski wiele cennych i wartościowych myśli. Stary adwokat jest to człowiek, który sterany życiem, zrywa z niem i zajmuje się jedynie hodowlą

i pielęgnowaniem wyższych ideałów, które Szaniawski przedstawia w swej sztuce jako hodowlę róż. Piękny ten pomysł wziął autor częściowo ze swego własnego życia, gdyż sam obecnie, oddzieliwszy się od życia towarzyskiego, osiadł w swej willi pod Warszawą i zajmuje się hodowlą tych pięknych kwiatów. Myślą przewodnią mecenasa jest wysoka wartość ideału, który musi upiększać i udoskonalać codzienne, szare życie. Bardzo ciekawem jest w tej sztuce zagadnienie swojego i cudzego podwórka. Otóż w życiu codziennem ludzie są nieczuli na krzywdę wyrządzoną innym, na swoją zaś własną krzywdę są często aż nazbyt czuli. W swej sztuce wskazuje Szaniawski przez osobę mecenasa, że krzywdy zarówno cudze, jak i swoje własne, należy oceniać obiektywnie i mieć wyrozumienie dla tych, którzy je wyrządzili. Adwokat, któremu ów student kradnie jego ideały, dla których przecież mecenas porzucił swe inne zainteresowania, nie mści się na złodzieju, lecz odnosi się do niego z wyrozumieniem, a nawet broni go przed słuszną zasłużoną karą. Mecenas jest także zdania, że życie samo wymierza sprawiedliwość zbrodniarzowi, czego oczywisty dowód mamy na osobie „pięknej Frani”, która pomimo to, że wyszła dzięki mecenasowi bezkarnie z procesu o zabójstwo, to jednak została ukarana przez życie zbrodnią, którą popełnił jej syn. Nie na-

leży więc zbyt surowo osądzać zbrodniarzy, bowiem życie jest sprawiedliwym sędzią, którego rąk żaden zbrodniarz ominąć nie potrafi. Uczucie miłości, jakie ma młody adwokat do żony swego chlebodawcy, jest najpiękniejszym i najszlachetniejszym uczuciem, jakie człowiek może posiadać. Młody adwokat chciałby owego studenta zgubić w lochach więziennych, jępnak nie czyni tego jedynie dzięki owej szlachetnej miłości, która zmusza go do bronienia przestępcy. Drugi uczeń mecenas, zajmujący się hodowlą

róż, nie może wytrwać przy ideałach, którym się poświęcił. Jednak pobyt jego w ogrodzie mecenasu każe nam spodziewać się, że wróci on do tego, co piękne i szlachetne.

Za ostateczny wniosek całej tej sztuki możemy uważać to, że należy umiejętnie oceniać winy ludzkie, osądzać je niezbyt surowo i przez całe życie dążyć do celu, którym są wyższe ideały, a wtenczas człowiek stanie się dobrym i szlachetnym.

Ros-Rad.

## Kronika gimnazjalna.

Pewnego razu podchodzi do mnie redaktor naszego „Promienia” i proponuje mi, abstynentowi, stroniącemu się od wszelkich płynów, począwszy od wody, a skończywszy na atramencie, objąć posadę reportera i na początek napisać kronikę gimnazjum. Nie wiem, co mi wtedy do głowy strzeliło, dość, że się zgodziłem, a teraz błagam muzy o natchnienie, które nie chce na mnie spływać, a stąd na papier. Staję nad tem trudnem zagadnieniem, nad tym węzłem gordyjskim, na którym już niejeden początkujący literat połamał ostrze swego pióra, a tą zaporą jest początek... Według tradycji kronikarskiej powinienem zacząć: — Ego primus kronikarius gimnazialicus... i t.d. — ale ponieważ język łaciński jest dla mnie „terrą incognitą”, więc wolę go pominąć, a zacząć trochę odmiennie. Przypuśćmy:— Onego

czasu... to znów zbyt ewangelicznie, a więc — Złote promienie jesiennego słońca łagodnie usypiały przyrodę do snu... tam do licha! Przecież to kronika, a nie powieść i nie poezji tu trzeba, ale jakichś faktów. Na szczęście nasz samorząd, ten kochany samorząd, raczył mi pozwolić na przejrzenie swych ksiąg i mogę wam teraz z czystym sumieniem, nie okłamując was, ani bujając (kłamstwo i bujda to dwa różne pojęcia w budzie), powiedzieć, raczej napisać, że: Dn. 16.IX-31 nastąpił wybór nowego prezydium, na czele jego stanął kolega „X<sup>2</sup>” (równanie drugiego stopnia z jedną niewiadomą).— Dn. 26.IX-31 r. został wygłoszony odczyt o „Lidze Narodów”, na zebraniu jednogłośnie (czyt. jednym głosem) przyjęto nowy rodzaj dyskusji, mianowicie nad formą zewnętrzną prelegenta. Po tej pierwszej sobótce nastąpił cały

szereg innych wraz z odczytami i nieodłączną dyskusją, z którą znów jest złączony nieodłącznie humor. Odczyty o Chopinie, o psychologii butelk, wróc, alkoholizmu, o Nieświeżu i t. d. sypią się jak z rękawa; coprawda to „i t. d.” dopiero będzie, miejmy jednak nadzieję, która jest czekiem bez pokrycia na bank szczęśliwości, że nas „i t. d.” nie zawiedzie. Po każdym odczycie są, jak zwykle, gry i zabawy i ja na nich byłem, niby się bawiłem, a to, co widziałem, opisać wam chciałem. Niestety, ani język posła, ani pędzel Matejki, ani pióro Makuszyńskiego, ani wrzście fortepian Mocia nie potrafi ani opowiedzieć, ani opisać, ani wygrać tego, co się na tych zabawach dzieje. Krzyk, pisk, śpiew, tupot, łoskot — wszystko to zlewa się w taką swoistą karkofonję dźwięków, że kto tylko usłyszy, ten odrazu powie: to nasza młodzież się bawi. Bardzo chwalebnie pracę samorządu, ale prosiłbym, aby się postarał o parę cowbojów z lassami na sali, aby niektóre zbyt rozbrykane stworzenia od czasu do czasu poskramiali. Kilku sanitariuszy z Czerwonego Krzyża

równieży miało coś do roboty.

Niedawno nasze ruchliwe prezydium zorganizowało sekcję dramatyczno-artystyczną, ale tu prawdziwy dramat: należeć każdy chce, każdy czuje się artystą, ale brać udział w imprezach... O! do tego to nie każdy ma ochotę. Biedny prezes już nabawił się żyłaków w nogach, rozedmy płuc i skołowacenia języka od ciągłego latania, przypominania i proszenia. Nie myślcie znowu, moi mili czytelnicy, że pozatem nie mamy żadnych innych rozrywek. Przeciwnie „Reduta” gwoli upiększenia naszego gmachu przywiozła do nas „Adwokata i różę”, których to zapachem (róż, nie adwokata) upajaliśmy się cały wieczór. Po tem znów „Z dnia na dzień” poszliśmy do „Arki Noego” i obydwie te obrazy filmowe napewno zapisały się niestartami zgłoskami na niektórych osobach przy kasie, w czasie zdobywania biletów, oraz krzesel na sali kinowej. By wam nie odbierać więcej drogiego czasu, a redaktorowi mniej cennego miejsca w gazecie (którego ma aż za dużo), podpisuję się niestartami zgłoskami.

Nemo.



**Cena 40 groszy.**

Redaktor główny i wydawca:  
Zygmunt Korzon.

Redaktor odpowiedzialny:  
prof. Elżbieta Andrzejewska.

Druk. „Wspólnej Sprawy” w Nieświeżu

